

Polska dialektyka prezydencka (i codzienna)

22 maja 2015

Polska frazeologia obfituje w znakomite związki i idiomaty. Jednym z nich, dramatycznie niedocenionym zresztą, jest „odwracać kota ogonem”. Jeżeli w ogóle ktoś dziś tego sformułowania używa, to najczęściej w trywialnych okolicznościach, podczas rytuału spychania winy na bliźniego lub bliźnich. Tymczasem ten właśnie trójwyrazowy frazeologizm jest fundamentalnym paradygmatem polskości, w bój o ocalenie której staje tyraliera profanów, obskurantów i abderytów – od Ziemkiewicza po Pajaka. Ale także od Komorowskiego po Brauna. Minione wybory stały się tego kolejnym dowodnym przykładem.

Polska rzeczywistość jest wyjątkowo trudna dla wszystkich, ale większości to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, większość tejże większości trudność uważa za szlachetną i nobilitującą, a za niegodnych parweniuszy ma tych, którzy postrzegają ją jako śmieszna, prowincjonalną ascezę. Na ile jest to słuszne, każdy musi odpowiedzieć sobie sam. Niemniej, zgoła niewątpliwym wydaje się być występowanie jednej, podstawowej przesłanki nieustająco nastroczającej dolegliwości. Chodzi właśnie o kota i ogon. O sprawcę i ofiarę, o złodzieja i okradzionego, o winnego i pokrzywdzonego, o wyzyskującego i wyzyskiwanego, o konformizm i antysystemowość.

W tej materii wszystko w Polsce stoi na głowie. Gdy ktoś przyłoży Ci tłuczkiem do mięsa podczas spaceru po mieście, po czym ograbi i zgwałci, tłum gapiów zgromadzony nad twoim bezprzytomnym ciałem rozważał będzie nie sposoby udzielania pomocy, lecz to, kim jesteś, co w tym miejscu robiłeś i czym zasłużyłeś na krzywdę (nie tak znowu wielką), która Cię spotkała. W co jesteś ubrany, ile masz przy sobie pieniędzy, czy znasz te rejony i czy czasem nie zachowałeś się zbyt konfrontacyjnie? Ciąg logiczny takiej właśnie jakości powstaje

natychmiast w umysłach i sercach wszystkich tych, którzy natknęli się na ofiarę.

Takie przepoczwarczanie pokrzywdzonego w prowokatora – toż właśnie „odwracanie kota ogonem” – wyjaśnienie ma bardzo proste. Chodzi o to, by natychmiast tak przesterować daną scenkę rodzajową, by nie występowała w niej żadna ofiara. Natknięcie się na ofiarę wymaga bowiem – zgodnie z większością powszechnie występujących w Polsce koncepcji moralnych – jakiegoś działania, a tym samym przyjęcia na siebie jakiejś odpowiedzialności. Tymczasem odpowiedzialność jest w polskiej kulturze grzechem, a jej przyjmowanie frajerstwem. Poczucie odpowiedzialności jest filozoficzną antonimią poczucia winy, które jest zawsze pożądane i bardzo potrzebne; skutecznie unieszczęśliwia i predysponuje do obezwładniającego głędzenia, którego Polki i Polacy są planetarnymi mistrzami.

Kto ten wszechkulturowy paradygmat zrozumie ma wszelkie szanse na dzierżycielstwo rządu dusz. Także politycznego.

Pierwsza tura tegorocznych wyborów prezydenckich, o czym wielu myślących ludzi już wspomniało, była doprawdy upiorna. Z jednej strony – dość dosłownie – był to bowiem benefis upiorów hiper-kołtunerii i leseferystycznego nacjonalizmu, z drugiej zaś, pod względem kulturowym, zostały one drastycznie przesterowane. Kota ogonem odwracano w każdej minucie trwania tego makabrycznego festiwalu po tysiäckroć, wystawiając tym ostatniemu realnemu mechanizmowi – za przeproszeniem – polskiej demokracji, czyli bezpośrednim wyborom, świadectwo upadku i schyłkowości.

Po zakończonej dopiero co nacjo-neoliberalnej pięciolatce, człowiek przytomny spodziewałby się jakiegoś ostrego opozycyjnego uderzenia, którego ostrze wycelowane byłoby w konstrukcję prezydentury, jaką był uprzejmy obdarzyć nas Bronisław Komorowski. Niestety, myślenie to obciążone jest zbyt prostą logiką. Polskie życie polityczne jest zaś nieopisanie wymyślne.

Już sam fakt, iż do elekcji stanęli wyłącznie kandydaci konserwatywni obyczajowo i liberalni ekonomicznie zakrawa na ponurą groteskę i naczelną manipulację kotem w wiadomy sposób. Wybierać można było zasadniczo tylko na poziomie estetycznym. Każdy z kandydatów, poza takim samym programem, miał jednak pewne osobliwe emploi. Jeden był przenikliwym tropicielem śladów żydowskiego powiernictwa nad gubernatorską władzą rosyjsko-niemiecką, inny bez opamiętania gulgotał o zmianie systemu wyborczego, jeszcze inny zakładał się o swój wynik obiecując lizanie deski klozetowej w polskim pociągu. Ktoś tam powtarzał to samo co przez ostatnie 20 lat, a ktoś nie mówił niczego poza dykteryjkami zaczytanymi ongiś w „Gazecie Wyborczej” (jeszcze w czasach gdy była platformą wykuwania etosu przedsiębiorczości, a nie prowojennym agitpropem).

Po kolejnym wielokrotnym zakręceniu kotem, wyodrębniono jednak pewien zdumiewający wspólny mianownik. Ci kandydaci, którzy w swej prawicowości byli mniej oględni i chętniej wachlowali obłędem oraz obficie sączyli jad, okazali się być bojownikami z zatrutym status quo. Samozwańcza i fałszywa antysystemowość i tym samym jeszcze bardziej szalbierczy wybór w ramach pierwszej tury zadziwiłby niejednego filozofa. Szybko usankcjonowano faktyczny brak wyboru jako wybór pomiędzy systemem i kadrową ekspozyturą jego antymaterii. Innymi słowy – brak oferty politycznej przedstawiono nie tylko jako jakiś tam asortyment, lecz jako możliwość dokonania najwyższego faktycznie wyboru, czyli obalenia systemu.

Niebывałe i katastrofalne głównie dlatego, że – jako rzekł kiedyś Jacek Kurski – „ciemny lud to kupił”. Elektorat en masse przyjął do wiadomości i zaakceptował najbardziej bodaj kuriozalną z propagandowych propozycji ubiegłego dwudziestolecia, i po prostu zarejestrował, że walka z hegemonią prawicy może odbywać się tylko poprzez zwiększenie poparcia dla bardziej radykalnego jej skrzydła.

Wszyscy ci, którzy domagają się organizacji państwa i społeczeństwa w oparciu o otwartą i realną – a nie ukrytą i

symboliczną – przemoc oraz jawną dyktaturę zamiast fasadowej demokracji stali się wrogami status quo. Kot i jego ogon wirują już niczym bęben nowoczesnej pralki automatycznej.

W warunkach takiej katastrofy poznawczej trudno dziwić się temu, że tzw. klasa polityczna, jak i mniej lub bardziej przypadkowi do niej pretendenci, mogą poczynać sobie z tą pulpą, umownie zwaną społeczeństwem, w sposób dowolny. Wyrazem tego właśnie jest wynik Pawła Kukiza, antystemowego bojownika, który chce pogłębić demokrację, ustanawiając w Polsce system jednomandatowych okręgów wyborczych. Abstrahując od oczywistego nonsensu, który wypisał na swoich sztandarach – o ile nie jest świadomym agentem PO PiS-u (na co chyba nie staje mu zdolności myślenia), wyrządził tym właśnie, przeciw którym najgłośniej gardłował, przysługę największą z możliwych. Jeżeli przyszły prezydent – obojętne, czy Gajowy w swoim prowincjonalnym stylu, czy Duda w szeleście sztandarów – zainicjuje realny proces zmiany konstytucji i wdrożenia tego mechanizmu, władza obu tych koterii stanie się niepodzielna i niepodważalna.

Jaka kultura – taka antystystemowość.

Autorstwo: Bojan Stanisławski

Źródło: Strajk.eu